

Pierwszy esej jubileuszowy : 50. rocznica powrotu „do cywila”!

[Fragmenty]

[...]

Nie ukrywam – pierwsze tygodnie były trudne. Przeżyłem je w 10. kompanii Centrum Szkolenia Specjalistów Marynarki Wojennej w Ustce. Jednak udało mi się dotrzeć do przysięgi bez większych trudności, a nawet „zawalczyć” o to, abym nie został skierowany na kurs dla „pisarzy” (takie stanowisko kancelaryjne w każdej jednostce – także na każdym okręcie), bo jako faceta po maturze początkowo tam mnie zakwalifikowano, i zostać skierowanym na kurs dla operatorów radiolokacji.

W tym czasie przeżyłem dwa epizody, z których każdy mógł w sposób znaczący przestawić zwrotnicę mojej dalszej „kariery” wojskowej, a nawet życiowej. Pierwszym była oferta podjęcia nauki w Oficerskiej Szkole Wojsk Radiotechnicznych w Jeleniej Górze (wycofałem się z tego pomysłu podczas badań lekarskich w Centralnym Szpitalu MW w Gdańsku-Oliwie), a drugim – manifestacyjna odmowa wstąpienia do PZPR – (w sytuacji, gdy prawie wszyscy z mojej „klasy” na kursie zgłosili chęć zapisania się). Za karę, ów agitujący podporucznik – dowódca klasy, przyrzekł mi odbywanie dalszej służby prze radarze, ale na Helu...

Ale i te przeciwności pokonałem – przy wsparciu jedyne rozsądnie myślącego oficera w tym szkoleniowym batalionie, zwanym tam „cyklem – i w ostatnich dniach października tego samego roku zostałem zaokrętowany, jako operator radiolokacji poza etatem, na Okręcie Hydrograficznym „Bałtyk”, którego portem macierzystym był Port Wojenny Gdynia-Oksywie.

I to było owym „szczęściem w nieszczęściu”, najlepszą wersją odbycia tego, co było nieuchronne – 2,5-letniej służby na okrętach polskiej Marynarki Wojennej. Nie będę tu wyjaśniał czym ta służba różniła się od tej, którą odbywali moi koledzy na niszczycielach, trałowcach czy nawet kutrach torpedowych. Nie mówiąc o okrętach podwodnych. No, może gdybym trafił do bazy tych ostatnich – zostałbym „kolegą z wojska”, młodszego ode mnie o 2 lata, [Leszka Millera](#)...

A na OH „Bałtyk” miałem służbę lekka, ciekawą i dającą możliwości przeżycia niemożliwych gdzie indziej przygód. Wspomnę tylko o tym, że – choć pływaliśmy pod banderą marynarki wojennej,

podlegaliśmy Szefostwu Hydrografii Sztabu Głównego MW – to za całą broń mieliśmy na pokładzie broń osobistą oficerów i kilkanaście „kałasznikowów” w magazynku (potrzebnych do odbycia raz w roku obowiązkowego strzelania), to tak w praktyce była to jednostka naukowo-badawcza. Pięć razy w roku, w terminach uzgodnionych w porozumieniach międzynarodowych, odbywaliśmy rejsy oceanograficzne po Morzu Bałtyckim, zabierając na pokład naukowców z Państwowego Instytutu Hydrologiczno-Meteorologicznego w Gdańsku.

Jednym z takich rejsów był doroczny rejs lutowy. W sezonie 1966/67 panowała ostra zima, Bałtyk zamarzał, a my – jak lodołamacz – parliśmy do przodu po wytyczonym kursie. Gdy okręt musiał zatrzymać się na kilka godzin, aby umożliwić pomiary i pobranie próbek wody – bosman okrętowy pozwolił, aby ci którzy się nie boją, zeszli po drabinie linowej na lód i pochodzili sobie... Oczywiście – należałem do tych odważnych. Ilu jeszcze Polaków może powiedzieć, że chodziło po zamrzniętym morzu 60 mil morskich na północ od Ustki?

Przeżyłem kilka sztormów, w tym ten z lutego 1966 roku, gdy połączenie gejzerów z rozpryskujących się fal, rozbijanych dziobem naszej płynącej pod wiatr łajby, z panującym silnym mrozem, spowodowało, że wszystko co było powyżej linii wodnej zostało po kilku godzinach pokryte coraz grubsza warstwą lodu. Dowódca nakazał „ucieczkę” z wiatrem na zachód. Wpłynęliśmy do Świnoujścia, a później torem wodnym po zalewie – do Szczecina. Następnego dnia wyszło piękne słońce, a mieszkańcy przychodzili oglądać nasz iskrzący się jakby cały był z diamentów, przycumowany przy Wałach Jagiellońskich, okręt.

Dzięki tej służbie na OH „Bałtyk” jestem jednym z nielicznych Polaków, którzy mieli możliwość na własne oczy oglądać, z odległości ok. 1 mili m., całe polskie wybrzeże: od granicy z ZSRR do granicy z NRD! Bo fotografowaliśmy, ustawioną poziomo kamerą do zdjęć lotniczych – na zlecenie Sztabu Generalnego – obrazy profilu brzegowego – w celu opracowania planu obrony przed ewentualnym wrogiem desantem „z morza”. [..]

Ale miałem i inne – odniesione już na samym okręcie – „sukcesy” wychowawcze. Obok funkcji – oczywistych z takim moim „społecznikowskim” życiorysem – jak przewodniczenie okrętowej organizacji Koła Młodzieży Wojskowej (KMW) i – po półtorarocznym stażu – przewodniczenie Sądowi Koleżeńskiemu, zgłosiłem się „na ochotnika” do roli bibliotekarza okrętowego. Jak to już opisałem przy okazji tekstu o początkach mojej działalności publicystycznej, czyli jak zostałem korespondentem terenowym tygodnika „Bandera”, przynosiłem na okręt z Biblioteki Portu Wojennego co kilka tygodni zestaw kilkudziesięciu książek, które wypożyczałem kolegom-marynarzom. Nie wszyscy moi koledzy mieli potrzeby czytelnicze, więc wpadłem na pomysł w jaki

sposób mogę ich zainteresować i zachęcić do wypożyczenia i przeczytania choć jednej książki na kwartał. Otóż podczas codziennego obierania ziemniaków (co drugi dzień jedna lub druga połowa załogi – z wyłączenie rezerwistów), gdy koledzy zasiadali z nożykami nad kotłem i strugali kartofle – ja czytałem na głos co ciekawsze fragmenty książki, wybranej z mojej bibliotecznej szafki. Zwykle w najciekawszym miejscu przerywałem, a gdy moi słuchacze domagali się, abym czytał dalej, ja oświadczałem: *przyjdź, wypożyczę ci i dowiesz się co było dalej*. Wieść o tym moim sposobie na czytelnictwo dotarła aż do Warszawy i pewnego dnia na okręt zjechał dziennikarz z redagowanego i drukowanego w Warszawie, ogólnopolskiego dziennika „Żołnierz Wolności”. Kilka dni później w owej gazecie ukazał się minireportaż, ilustrowany zdjęciem „kartoflanej sesji czytelniczej”. Po latach, czytając prace prof. Heleny Radlińskiej, dowiedziałem się, że to co robiłem, czyli oświata dorosłych i „udostępnianie wytworów kultury”, to ważny nurt pedagogiki społecznej. [...]

Źródło: <http://obserwatoriumedukacji.pl/pierwszy-esej-jubileuszowy-50-rocznica-powrotu-do-cywila/>